

Z ZOFIĄ KUCÓWNĄ

rozmawia

MAJA MARKUSZ

"Kobiety i życie" 13 V 1987



– Jak Pani sądzi, czy w teatrze możemy szukać wzorców postępowania, odpowiedzi na pytanie: jak żyć?

– Wzorców chyba nie, ale teatr – podobnie jak literatura – może być źródłem refleksji. Może też komuś przynieść ukojenie, jeśli utożsami się z postacią na scenie, bo zrozumie, że nie jest jednym jedynym przeżywającym jakieś rozterki czy tragedie. Bohaterowie książki, sceny, filmu bywają też lustrem, w którym odbijamy się i potwierdzamy siebie lub nie, jeśli posiadamy cechy autokrytycyzmu lub autoironii. Ale to zdarza się rzadko, chyba. A mimo to wydaje mi się, że każdy ma takie momenty w życiu, że nawet jedna linijka wiersza może mu pomóc.

– A Pani?

– Często z literatury czerpię otuchę. Ileż to razy zdanie z wiersza Kamińskiej: „Wszystko jest łaską, że jest...” łagodziło wszystkie bunty i cierpienia jakie przeżywałam, upominało, że mimo wszystko trzeba się cieszyć tym, że się jest, że się żyje, że się przeżywa uczucia namiętności, że się płacze nawet.

– Nie odwołuje się Pani do kreowanych przez siebie bohatererek?

– Zawsze bardziej angażowałam się w życie niż w fikcję teatralną. Korzystam raczej z tego, co mi żywi ludzie dają. Bywa, że przypadkowo usłyszane zdanie głębiej zapada w pamięci niż najmądrzejsza kwestia roli. „Żyć trzeba tak, jakby się miało żyć wiecznie, a pracować tak, jakby się miało umrzeć jutro” – to uślaszałam kiedyś, przed laty, w banalnej w gruncie rzeczy rozmowie i z tej prawdy korzystam do dzisiaj. Pyta pani, czy odwołuję się do granych przeze mnie bohatererek? Czy wzorowałam się na nich? Nie. Nigdy. Bo nie wierzę w żadne wzorce na życie. Jesteśmy tak zdeterminowani własnym charakterem, rodzajem zmysłowości lub szerzej mówiąc – osobowości, że tak zwany wzorzec może pomóc na raz, na pewną, określoną okoliczność, ale na życie w ogóle – na pewno nie. Szczerze mówiąc irytowały mnie nieraz „baby”, które przyszło mi grać. Nieraz też wskazywałam palcem na nieprawdziwe portrety kobiet w naszej literaturze romantycznej, pozytywistycznej, modernistycznej. Przedziwne to

Człowiek jest tyle wart, ile pomoże drugiemu



kobiety. Ich portrety tworzyli mężczyźni, na miarę własnych pragnień, marzeń, wyobrażeń. Daleko od prawdy o nas.

– Na scenie zaprzecza Pan! temu. Wyścierzy przypomnieć Fedrę. Jak wspaniale ją Pani zagrała, a przecież w gruncie rzeczy chodziło jej o zemstę za swoją „występną” i nieodwzajemnioną miłość.

– Ona też mnie irytowała. Swoją podlełością losowi, obyczajowi, mężczyźnie. Taką stworzył mit grecki, po nim Racine. To mężczyźni narzucili model kobiety, której całe życie kręci się wokół tego, czy on ją kocha, czy nie. Lub – jak kocha. A jak ona kocha nie tego, co trzeba, tylko innego – to źle? Inne wielkie obszary kobiecego życia pozostają nie odkryte, bo panów nie interesują. Aktorki wiele razy na scenie wypełniają te obszary pustki, niedomówień, swoją osobowością, swoją inteligencją, swoją wiedzą. Jeden tylko Bergman zaskakuje nas całą galerią bardzo różnych kobiet, wymyślonych, rzeczywistych. Czasem jest wobec nich okrutny, ale ma rację, bo prawda bywa okrutna.

– A czy my – kobiety – znamy prawdę o sobie?

– Chyba nie. Kończy się wiek XX, a nam coraz gorzej i ciężiej z tą emancypacją. Szamoczymy się i walczymy, uwięzione w narzuconej roli przedmiotu. Bo mężczyzna stwarza konflikty, lubi nadal być wszechwładnym, absolutnym zwierzchnikiem, istotnym bytem. I nie chce widzieć w kobiecie równorzędnej istoty. Ona więc przybiera postawę agresywną, bo każdy ucisk wywołuje stan wojny. Dopóki będzie frwała ta przekleta „kobiecość”, którą, niestety, za-

wzięcie chcą utrzymać także kobiety – tam gdzie daje ona przywileje – a przede wszystkim mężczyźni, którzy tę „kobiecość” wymyślili i nadali jej tak przekonywające motywacje, że prześladować nas od tysiącleci i prześladować będzie jeszcze długo. Bo łatwiej jest oskarżać jedną z płci niż usprawiedliwiać drugą.

– Mężczyznom też nie zawsze łatwo, też obrywają za swoje...

– Nie wierzę, aby znalazł się choć jeden mężczyzna na świecie, który chciałby być kobietą. A trują nam głowy awansami, pochlebstwami, pochwałami bardzo zewnętrzny i powierzchownymi, tyczącymi spraw nieistotnych, mało ważnych, bo żaden z nich nie przyzna, że kobieta może być od nich inteligentniejsza, odważniejsza, dzielniejsza, bardziej błyskotliwa lub bodaj na równi. Oszukują nas komplementami, które tyczą seksu, erotyki, tóżka, talentów kulinarnych, zdolności pedagogicznych, jeśli chodzi o dzieci. Od wieków nosimy w sobie kult mężczyzny i nadal – mimo tej emancypacji, wciąż pozornej, oni decydują, że jesteśmy „fascynujące” gdy mamy lat 20, „interesujące” gdy mamy lat 30, „histeryczne” gdy stuknie nam czterdziestka i „nie do wytrzymania”, gdy dobjemy 50. A gdy mamy 60 lat, to już w ogóle się nie liczymy. Jesteśmy trzecią płcią. Więc jak wyłowić, wysublimować prawdę o nas, jeśli siedzimy po uszy w tym „tańcu śmierci”, który dotyczy obydwu stron? Trudna sprawa. Ciągłe jeszcze.

– Oj, poniosło Panią. A w telewizyjnych „Opowieściach mojej żony” była Pani kobietą, która doskonale dawała so-



bie radę z mężem, przygwaździła go swoją kobiecą logiką i zawsze miała, jeśli już nie ostatnie słowo, to przynajmniej rację.

– O, to drugi, po Bergmanie, pan taskawy dla kobiet. Wprawdzie trochę ironiczny, ale taskawy, nawet idealizujący – Mirosław Żuławski. Pozwolił żonie wygrywać, mieć ostatnie słowo. Każda z nas pragnęłaby spełniać taką rolę żony, jaką przedstawił Żuławski. I mieć taki dom, gdzie wspólny stół, wspólna lampa, wspólne życie. Ten serialik przyniósł mi popularność, nawet miłość, przede wszystkim kobiet. Chyba dlatego, że wywołał tęsknoty za wspólnotą rodziny, zażyłością, miłością, za prawdziwym domem. Bo mimo tej walki o wolność, o której rozgadałam się poprzednio, odwracamy z tęsknotą głowy w przeszłość. Chyba nie czujemy się dostatecznie silne w naszej walce o samodzielność, bo gdy nam źle – uciekamy w bezpieczniejszy świat, wymoszony przez nasze matki i babki.

– To prawda. W naszym rozbieganym życiu chciałoby się mieć dom-przystań. Pani też szuka takiego domu we wspomnieniach? Jaki był Pani rodzinny dom?

– Podobny do namalowanego przez Żuławskiego w „Opowieściach”. Do dzisiaj tęsknię za moim dzieciństwem, za domem, który miał podobny nastrój, podobną aurę, był bezpieczny, gościnny, taki, gdzie dziadek, babcia, ciotki, psy, koty... Taki zasobny, pękaty, dom w Komorowie pod Ostrowią Mazowiecką.

– Nie da się chyba wzorców z dzieciństwa przenieść w dorosłe życie. Inne czasy, Inna rzeczywistość.

– Niestety. Szczerze mówiąc, nie bardzo wiem, jaki był ten mój dom naprawdę. Dom ludzi dorosłych, dziadka, babci, moich rodziców. Sądzę, że był trudny, kłopotliwy i często spędzał sen z powiek. To dla nas, dla mnie i dla dzieci moich ciotek, był i będzie jedynym, niepowtarzalnym, najcudowniejszym na świecie. Przyznam się pani, że ja – osoba walcząca, zdeklarowana feministka, kiedy zmęczył mnie nadmiernie moja emancypacja, uciekam chętnie do domu moich przyjaciół. Tam zawsze

ktos jest, zawsze można wpaść, przysiąść, pogadać, dostać szklankę herbaty. To dom-oaza. Mało takich. Prawie już nie ma.

– Są aktorzy, dla których teatr jest domem, życiem nawet.

– Może ja nie jestem typową aktorką, ale – domem dla mnie jest mój dom. A moje życie, to wszystko to, co się na nie składa: rodzina i przyjaciele, dom i sprzątanie, gotowanie. Pragnienia i tęsknoty. Moje radości, bóle i cierpienia, gorycze i marzenia, oczywiście, teatr też.

– Przez cztery lata nie schodziła z afisza sztuka „Jak się kochają”, w Teatrze Współczesnym, z Pani udziałem. O bilety było trudno, a teraz ani sztuki ani Pani na scenie. Dlaczego? Jest Pani nadal we Współczesnym?

– Jestem. A sztukę tę graliśmy rzeczywistością z wielkim powodzeniem. Po śmierci Czesława Wołłejki przedstawienie przestało istnieć. W innych spektaklach nie biorę udziału i w związku z tym mam wiele wolnych wieczorów.

– Przez z górą 30 lat była Pani na scenie. Stworzyła sporo niezapomnianych kreacji. Czuje się Pani już zmęczona? Co sprawia, że Pani nie gra?

– Sama sobie tego pytania nie zadaję. Dla bezpieczeństwa. Przyjmuję bez buntowania się tę rzeczywistość, że od 4 lat, właściwie od wyjścia z Narodowego, nie ma dla mnie żadnych propozycji. I nie zastanawiam się dlaczego, bo mogłabym dojść do wniosku, że jestem niepotrzebna – mimo wypracowania pewnych wartości. Może przestałam działać na wyobraźnię! Może rzeczywistość nie ma dla mnie roli? A może trzeba cierpliwie przeczekać ten okres, kiedy już nie jest się młodą, a jeszcze – nie starą? Nie rozmyślałam nad tym, nie narzekam i nie denerwuję się. Czekam. Spokojnie czekam.

– Parę lat temu wyznała Pani: „Najważniejsze, żeby nie utonąć w pustce i nicnierobieniu. Robić, robić, robić coś za wszelką cenę”. Dziś powiedziała by Pani to samo?

Człowiek jest tyle wart, ile pomoże drugiemu

Dokończenie ze str. 9

– Tak. Nie wolno dopuścić do tego, żeby nic się nie działo. Jeśli brakuje siły, żeby profesjonalnie się wyżywać, to trzeba szukać innych działań. My, aktorzy nie zależymy od siebie. Albo nas chcą i widzą, albo są okresy ciszy, kiedy nas nie potrzebują. Mnie w takich sytuacjach ratowała praca społeczna. Dawala moralne zadowolenie i niejednokrotnie więcej satysfakcji niż teatr. I sama prowokowałam takie sytuacje, żeby być potrzebną jakiemuś człowiekowi czy grupie ludzi.

– **Pamiętam. Nie żałowała Pani ani czasu ani sił dla pensjonariuszy Domu Aktora-Seniora w Skolimowie.**

– Teraz nie mogę zajmować się starszymi kolegami. Nie należę do związku i mój udział w pracy dla Skolimowa jest niemożliwy. Znalazłam sobie inny rodzaj pracy społecznej – wśród dzieci. Nie działam sama. Pomagają mi koledzy i młodszy i starsi – grupa młodych z Teatru Powszechnego z Dusią Trafankowską na czele. Uwielbiany i kochany przez dzieci Zygmunta Keśtowitz ze swoim Pankracym. Wyrażyli zgodę na pomoc Ania Seniuk, Ewa Ziętek i kilku innych jeszcze. Zabrakłoby miejsca na wymienienie wszystkich.

– **Aktorzy szukają raczej możliwości działania na estradzie, w radu. Pani pomaga innym z potrzeby serca?**

– Każda rzecz, nie bujajmy się, wynika z egoistycznych pobudek. Ja wypełniam sobie życie i wzbogacam je. Tak właśnie i jeszcze inaczej. Zresztą nie ja jedna.

– **Czy trzeba samemu cierpieć, by chcieć pomagać innym?**

– Smak takiej pracy przychodzi z wiekiem. Gdy byłam młoda, interesowałam się głównie tym, co działo się wokół mnie. Zawodowo działo się dużo i nie miałam na nic innego czasu. A teraz mam okresy ciszy i trzeba je czymś wypełnić. Sądzę, że człowiek jest tyle wart, ile pomoże drugiemu człowiekowi. To daje szczęście.

– **W Muzeum Marii Dąbrowskiej, na**

Polnej, utworzyła Pani, można powiedzieć, swój własny teatr. Czy po to, by jednak grać, czy też zafascynowała Panią twórczość tej pisarki?

– Miałam zbyt dużo wolnego czasu, bo w teatrze nie byłam zajęta, a życie domowe też nie wypełniało pustki. Z biedy zawodowej wpadłam na pomysł, żeby tam właśnie w dużym, nie wykorzystanym pokoju, zebrać kilkadziesiąt osób i coś im powiedzieć. Wybor padł na nieopublikowane pamiętniki pisarki. Do tego pomystu z entuzjazmem odniosła się pani Basia Musiałowa – kustosz, i dyrekcja Muzeum Literatury. Zaproszonym gościom taka propozycja też się ogromnie spodobała. W ciągu 3 lat miałam tam 3 premiery. I tak to trwa. Te wieczory u Dąbrowskiej dają mi dużo radości. Ale osobą bardzo bliską mi duchowo jest Maria Kuncewiczowa. Nie w literaturze, nie w teatrze, ale w życiu szukam i nie tyle wzorców, co potwierdzeń. W Niej znalazłam bardzo podobne, wręcz identyczne reakcje na różne sprawy i z grona moich starszych przyjaciółek, Ona właśnie stała się najważniejszą dla mnie. Aż mnie zadziwiło, że możemy, mimo tak dużej różnicy wieku, podobnie czuć, reagować, myśleć.

– **O żalu i nadziei, o naturze kobiet i poszukiwaniu życiowych drogowskazów rozmawialiśmy z Marią Kuncewiczową na łamach naszego pisma w grudniu ubiegłego roku. Ciekawa jestem, które z Jej poglądów są bliskie także Pani?**

– Bliska jest mi Jej niezgoda na przemianowanie, na śmierć, na cierpienie. To oglądanie się w przeszłość. To wszystko, co budzi taki rodzaj namiętności, że człowiek nieraz może być bliski morderstwa z tego gromadzącego się w nim bólu. Rozmawiałam z nią wiele razy. Akceptowała, rozgrzeszała mój buntowniczy stosunek do życia, który sprawia mi wiele kłopotów i powoduje, że staję się sama dla siebie największą awanturą. A mój zachwyt nad nią wynika i z tego, że choć jest dużo starsza – wcale się nie uciszyła i ciągle podlega tym samym namiętnościom i buntom. Obydwie zdajemy sobie sprawę z tego, że z biegiem lat człowiek powinien zdobyć się na minimum bodaj pokory. Wiemy, że to konieczne. Staramy się być pokorne. A... okazuje się to absolutnie niemożliwe. To tak, jakbyśmy rozkochały się w cierpieniu na ten temat, uwierzyły, że to właśnie, ta niezgoda, jest motorem bardzo intensywnego przeżywania świata. Różni nas tylko rodzaj temperamentu i spontaniczności – u mnie bardzo

żywiłowy, impetyczny, u niej – powściągliwy i zdyscyplinowany.

– **W naszych oczach Pani portret jest inny. Znany Pani perfekcjonizm zawodowy, a na co dzień spokój, ukladność, serdeczny uśmiech, tolerancyjność...**

– Bywam bardzo różna. Może nawet szkoda, że powstał taki mój portret. Wspinałam się na palce, żeby mu dorównać, żeby go nie zniszczyć. Rysują go też pewne cechy mojego charakteru: pryncypialne stawianie i rozwiązywanie problemów. Ale to wcale nie znaczy, że czuję się wspaniała i doskonała. Czasami mam wiele pretensji do siebie.

– **O co?**

– O to, że czasami zdarza mi się wyłamać z ram tego portretu. Bardzo to przeżywam. Bywam naprawdę różna. Wybuchowa i łagodna, nietolerancyjna i tolerancyjna. Działam emocjonalnie, a czasem stosuję rozsądną taktykę. Bywam mądralsza i naprawdę mądra. Sympatyczna i niesympatyczna. Miła i niemiła. Uśmiechnięta i ponura.

– **Słowem kobiecia z krwi i kości. Czy także zazdrosna, zawistna?**

– Przez wiele lat nie wiedziałam, na czym polega uczucie zawiści czy zazdrości. Poznałam je wtedy, kiedy stały się szarpającym bólem. Tyczo to jednak spraw dość szczególnych, nie związanych z zawodem czy jakąś majątnością.

– **A jakich?**

– Zazdrościć ludziom, wściekle zazdrościć – zdrowia. Gdy widzę tytanów, to szczerze im zazdrościć. Zaraz sobie powtarzam za Mickiewiczem: „... zdrowie, ile cię cenić trzeba ten tylko się dowie, kto cię stracił”. Z tym bywa u mnie na bakier.

– **Zachowuje Pani jednak pogodę ducha. Skąd, z czego czerpie na to siły?**

– Z tym też bywa różnie. Są okresy kiedy wpadam w skrajną, irracjonalną depresję. Wtedy staram się unikać ludzi. Wszystkie moje „rozdrapy”, upadki duchowe są moją prywatną sprawą i muszę sama uporać się z nimi. A czasem rozlewa się nade mną bania szczęścia, niejednokrotnie bez konkretnego powodu i wtedy albo okropnie się marzę albo – jak pani to określiła – jestem spokojna, ukladna, tolerancyjna, serdecznie uśmiechnięta.

– **A co Pani lubi, tak najbardziej?**

– Tak strasznie dużo rzeczy lubię, że trudno mi coś wyróżnić. Ale najbardziej lubię żyć!

MAJA MARKUSZ